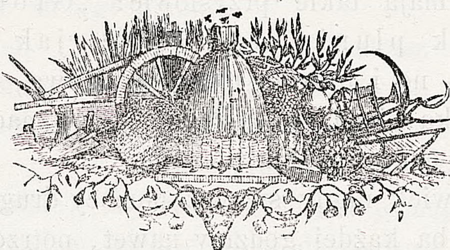
Tom XI. Nr. 11.



11. października 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Gawęda o gromadzie.

### I.

### Kmieć a gromada.

Czy wiecie wy, kochani bracia, jaką to ma być dobra gromada? Oj nie wszyscy pono o tem wiedzą, bo by nie było między bożym ludkiem tyle biedy, grzechu i nieszczęścia, gdyby o tem dobrze wiedzieli. W niejednej to wsi nie idą w ład wszelakie sprawy i nie ma za grosz dobrej doli, jeno wszystko źle i marnie się dzieje — a dlaczego? Bo gromada jest nieporządna i niedobra.

A przecież Pan Bóg dla każdego sprawiedliwy, każdemu dał tyle, ile mu potrzeba, aby żył poczciwie na świecie i był użytecznym swym bliźnim, jeno w tem leży wszystko złe, że jeden i drugi źle sobie radzi i nie robi jak przystało poczciwemu człeku.

Toć to niejedną ja wieś widziałem, roli dobrej w niej huk, i lasu kawałek tęgi i łąk podostatkiem i niczego tam niebrak,

co ludziom potrzebne — a przecież tam nędza i obraza boska, aż serce boli. A nie winien temu kto inny, jeno gromada sama.

Rusini to mają takie przysłowie: „Gromada wielki człowiek, jak plunie, to zaleje, jak chuchnie to wysuszy.“ A no i prawda to sprawiedliwa, bo czego jeden człowiek z ciężką biedą nie dokaże, to gromada w lot zrobi, skoro tylko ma chęć i rozum po temu.

Jeden człowiek nigdy się bez pomocy drugich nie obejdzie. Każdego dnia, ba każdej godziny nawet, potrzebuje on drugich ludzi, aby go wsparli w wszelakiej sprawie i potrzebie. W szczęściu i nieszczęściu, w złej i dobrej doli sam jeden człowiek żyć po bożemu nie może, chyba żeby gdzie w lesie się ukrywał jak zwierz jaki dziki, i nędznie tam chciał biedować aż do śmierci.

Dla tego też ludzie za najdawniejszych jeszcze czasów pozbierali się w gromady, i pozakładali sobie wsie całe, aby żyć razem, i aby sobie pomagać nawzajem. Tak więc powstały gromady.

Teraz zaś pogadamy z sobą, kochani ludkowie, jaką ma być gromada? Nie trudno to na to odpowiedzieć, bo każdy, kto się tylko po troszę rozmyślał nad tem, to mu już samo do głowy przyjdzie, jaka gromada być powinna.

Gromada powinna być najpierw taką, aby wszyscy co do niej należą, mieli od niej obronę i bezpieczeństwo, aby każdy kmieć z osobna mógł we wszystkiem znaleźć opiekę i ratunek w gromadzie.

A jakim się to sposobem stać może?

Nie może się to stać inaczej, jeno takiem prawem, aby każdy człowiek, co należy do gromady, pracował nie tylko dla siebie, ale i dla wszystkich, aby nie jedno dbał o siebie, ale i o innych, co żyją w jednej gromadzie.

Bo powiedzcież mi kochani bracia, jaką racją może kto żądać od innych pomocy, jeżeli im sam nie pomaga? Wszak święta to prawda: „*Jak ty drugim, tak drudzy tobie.*“ Otóż każdy kmieć musi robić coś dla gromady, a wtedy cała gromada robić będzie dla niego.

Gromada więc wtedy tylko może być opieką i ochroną dla

każdego człowieka, co do niej należy, jeżeli każdy człowiek swoją pracą i swoją pomocą będzie wspierał gromadę.

Na czemże stoi gromada?

Oto na tem. Kuba i Andrzej i Łukasz i Antoni radzi i pomaga czem może gromadzie, a gromada za to radzi i pomaga Kubie i Andrzejowi i Łukaszowi i Antoniemu.

— Ba! — powie może z was który — to kiedy ja mam pomagać gromadzie, aby mnie gromada pomagała, toć to dla mnie nie jest żadne wielkie dobrodziejstwo i korzyść żadna. Boć to tak samo, jak gdybym ja komu pożyczył pieniądze a on mi potem oddał, no toć to przecie nie taka rzecz wielka.

Dobrze! odpowiem wam na to. Ale jeżeli ty pożyczysz komu pieniądze, to ci on potem odda z procentem, więc masz zysk przy tem. Otóż i gromada, jak ty jej dajesz pomoc, to ona ci tę pomoc oddaje z dużym, bardzo dużym procentem.

Ty jeden dasz całej wsi pomoc. Pomoc ta nie może być wielką, bo ty sam jeden dużo nie wydołasz. A gromada za to, jak tobie trzeba pomocy, da ci pomoc sto razy większą, bo co jeden człowiek to nie sto.

Jak masz krajcar, co ty możesz kupić za ten jeden mizerny szeląg? Chyba obwarzanek maleńki. Ale jak was się zbierze sto i da po jednym krajcarze, to już będzie znaczniejsza suma, bo *„ziarnko do ziarnka, będzie miarka.“*

Oto dam wam przykład. Niedaleko wsi, w której mieszkacie, jest miasto. Do tego miasta trzeba wam nieraz pojechać, aby coś kupić lub sprzedać, bo bez tego człowiek obejść się nie może. Ale do tego miasta nie ma drogi, jeno same bagna i doły.

Jakże się ty sam dostaniesz do miasta? Przez bagna i doły trudno, bo koniska woza nie wyciągną. Czy zbudujesz sobie może sam drogę? Gdzież tam, bo to dużo pieniędzy kosztuje. Trzeba chrustu, palów i szutru — a gdzież ty tyle weźmiesz czasu i pieniędzy, aby tego dostarczyć? Któż ci pomoże?

Gromada. A jak? Oto ty i każdy z gromady, dasz tylko tyle na co cię stać i zbierze się taka suma, że można drogę zrobić wygodną i bezpieczną. Gdyby nie było gromady, ty sam nigdybyś tego niedokazał, ale z gromadą razem to się jakoś zrobiło.

*

Tak to w gromadzie jeden pomaga wszystkim, a wszyscy jednemu. Tak samo się dzieje, jeżeli np. trzeba szkoły dla dzieci. Sam jej nie wystawisz — ale jak się z gromadą złożysz, to szkołę, jak nic wybudujecie. A kościołek także, a probostwo, a groblę? Także nie inaczej. Albo jeśli niedaj Boże zapali się chata, czy sam ją wyratujesz? Nie! pomogą ci ludzie, gromada.

A za to jeśli się pali u drugiego, czy ty będziesz siedział za piecem? Broń Boże! Wtedy musisz ty biedz na ratunek, bo oni ciebie ratowali. Otóż tak zawsze: „*Ręka rękę myje, noga nogę wspiera.*“

Dla tego też świętym obowiązkiem każdego kmiecia jest, wspierać gromadę, aby go gromada wspierała. To też jeżeli przyjdzie jaka składka, to daj zaraz, co na ciebie przypada i nie wymawiaj się, że nie możesz, bo jak będziesz w potrzebie, to się i gromada może wymówić, że nie może.

Jeżeli potrzeba, abyś pomógł gromadzie ręką, groszem, chudobą — pomagaj ile możesz Nie pożałujesz tego, ale owszem wielki z tego pożytek mieć będziesz — tysiąc razy większy, niż gdybyś komu innemu pracował za pieniądze ręką i chudobą. Bo pamiętaj, że z tych pieniędzy, coby ci inny zapłacił za tę pracę, co ją gromadzie dajesz darmo, nigdy w świecie nie będzie ci taki pożytek, jak z tego, żeś pomógł gromadzie.

Mówi stara gadka polska: „*Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.*“ Otoż tak samo powiedzieć można: „*Jak Kuba gromadzie, tak gromada Kubie.*“

Jeżeli więc będziesz tak pomagał gromadzie, jak tu stoi wypisano — wtedy będzie gromadzie dobrze.

A jak będzie dobrze gromadzie i tobie źle nie będzie.

I wtedy gromada będzie mogła być gromadą co się zowie, gromadą porządną i przykładną.

Jak zaś wygląda gromada porządna i dobra, o tem na przyszły raz opowiem wam ku nauce A teraz rozmyślajcie dobrze nad tem, co wam powiedziałem i zostańcie z Bogiem!

# Na upor niema lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał że to ona,
Bo była wpół ogolona.
— O zbóje! żeby ją skryli,
Używając takich figli
Że biedaczkę wygolili! —
— Powiedz raczej że ostrzygli!
Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą.
— A no patrzcież bo mi go
Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczać nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz że jest postrzyżona? —
— A wąsiki ekonoma?
Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone? —
— Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma;
Dobrze że suka jest doma,
Choć tak szpetnie ogolona!
— Toć i jam się ucieszyła,
Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła
Choć tak szpetnie ostrzyżona! —
— Głupiaś z twemi nożycami!
— I ty z twojemi brzytwami!
— Że golona, przypatrz że się!
— Że strzyżona, pokaże się! —
Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk w koło się rozlega:
Ogolona! Ostrzyżona!
Idzie sąsiad: — Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona —
Idzie żyd: — Powiedzno żydzie,
Czy golona, czy strzyżona? —
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
I sprawa zapieczętowana:
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się pan i ksiądz zgodził:
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
W drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta.
U progu suka ich wita:
— Pójdź tu moja ogolona! —
Woła mąż. A kobieta:
— Pójdź tu moja ostrzyżona!

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nie nawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: — A no teraz:
Czy golona czy strzyżona? —
Biedaczka, ze śmiercią w walce:
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce,
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże!

Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody.
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał za żołnierza.

# Podpalacz.

## II.

Szybko czas leci, tak że ani się obejrzysz, kilkanaście lat przebiegnie jak z bicza strzelił, człowiek ani czuje jak się starzeje. Prędko tedy minęło dwanaście lat, na które był Plewa skazany, prędko dla wszystkich, ale nie dla niego. Zły ów człowiek cierpiał bardzo wiele przez długoletnie więzienie, ale nie myślał o Bogu i poprawie, jeno jakby się zemścić.

Nakoniec upłynął czas kary. Jednego poranku dozorca więzienia z trzaskiem otworzył drzwi kaźni Fabijana, wszedł urzędnik sądowy i oznajmił złodziejowi, że nadszedł dzień jego uwolnienia i dawszy mu naukę moralną, aby nadal żył cnotliwie i strzegł się występków, powiedział że może wracać do wsi rodzinnej. Dozorca wyprowadził go na dziedziniec więzienia, ślusarz rozkuł kajdany, rozebrano go z aresztanckiego ubioru, oddano jego zleżałe suknie i wyprowadzono z domu kary.

Fabijan otrząsnął się po za bramą, jak pies spuszczony z łańcucha; stanął, popatrzył na straszny dom, w którym tyle lat przesiedział, splunął, zaklął okropnie i puścił się ulicą w miasto prowadzącą.

Nie był on bez grosza, gdyż w ciągu uwięzienia wysyłany bywał na roboty z innymi więźniami i dozorcą po rozmaitych miejscach; pieniądze za to płacone dzielono na dwie równe części, dwie szły na fundusz więzienny, trzecia dla więźnia, aby po wyjściu z kryminału miał o czem rozpocząć pracę. Fabijan przy wypuszczeniu otrzymał z górą trzysta złotych.

Z tych pieniędzy kupił sobie najprzód porządny strój kmiecy, a przebrawszy się w niego wrócił do wsi rodzinnej.

W Liszkach tymczasem wielkie zmiany zaszły. Stary Owca umarł przed siedmią laty. Stanisław się ożenił i siedział na gruncie ojcowskim, wziął córkę zagrodnika z Mnikowa z pięknem wianem, a Pan Bóg obdarzył go trojgiem dzieci.

Fabijan stanąwszy w Liszkach przeszedł milczkiem przez wieś i nikt go wcale nie poznał. Żonę zastał bardzo podstarzałą i zmizerowaną, dzieci powyrastały. Było tam krzyku i płaczu niemało przy witaniu. Fabijan sam tylko nie płakał, wypytywał się on pilnie o wszystko, ale nie wiele go jakoś obchodziły strapienia żony i dzieci, ani bieda której doświadczali, siedział, słuchał, patrzył pochmurno, a czasem zagadnął o to lub owo.

— Oj Fabijanie, Fabijanie — zawołała wreszcie kobieta — potrzeba ci też było puszczać się na kradzież, kiedyś miał swego dosyć, teraz ja się kryć muszę przed ludźmi i wstydzić, bo mię nazywają złodziejką, a biedne dzieci niewinnie cierpią.

— Milcz babo — zawołał Fabijan — teraz to wstydzisz się przezwiska złodziejki i umiesz wymyślać, ale kiedym ci znosił do domu, nic nie mówiłaś i byłaś rada.

— Bom nigdy nie myślała, żeby cię uchwycili.

— No nic nie gadaj, tylko mi przynieś ten garczek z pod gruszki.

— Ale, z pod gruszki — alboż to tam co jest — zawołała opryskliwie Fabijanowa — tośmy przecie nie mogli umierać z głodu — wszystkom wydała.

— Wszystko — krzyknął Fabijan i poczerwieniał ze złości jak burak, zgrzytnął zębami i uchwyciwszy niewiastę za włosy, począł ją bić niemiłosiernie.

Na krzyk baby i dzieci zlecieli się sąsiedzi i wyrwali kobietę z rąk rozjuszonego hultaja, poznawszy zaś w nim złodzieja wsiowego, poczęli nań wymyślać, odgrażając, że go do urzędu zawiodą.

Plewa zamilkł, bo się przeląkł, i tylko klął w duszy, a gdy odeszli ludzie, siadł w kącie izby zamyślony i siedział tak aż do późnej nocy, rozważając co mu wypadnie dalej robić, wreszcie poszedł spać lecz nie na łóżko, ale do stodoły.

— Zapłacę ja wam wszystkim — mruknął — jeszcze moje będzie na wierzchu.

W kilka dni potem poszedł do adwokata i prosił go, aby zrobił proces tym, co go to za złodziejstwo do kryminału oddali, ale adwokat mu powiedział, że prawem nic nie wskóra, bo sprawa jego zła i niesprawiedliwa. Fabijan nie zrażony tą odpowiedzią wyszukał jakiegoś pisarczyka gdzieś w szynku, a ten mu przyobiecał wygraną i tak zaczęło się prawowanie.

Nie będę wam opisywał procesu jaki prowadził przez dwa lata Plewa ze swoimi nieprzyjaciółmi, dosyć na tem, że nic nie wskórał, a całe gospodarstwo sterał i wyszedł na dziada. Przed końcem jeszcze procesu, kobieta mu umarła, wtedy Fabijan dzieci porozganiał po świecie i kazał aby się same na siebie starały. Kiedy mu z urzędu za koszta prawne sprzedano grunt i domostwo, to po zapłaceniu należytości, dostał ledwie pięćdziesiąt złotych w rękę i z temi wieś rodzinną opuścił.

Myślicie może bracia kochani, że po tych stratach Fabijan poprawił się, gdzie tam — kiedy zawziętość opanuje ciemnego człowieka, a czart zemsty ogarnie jego duszę, to nic w świecie nie pomoże takiemu grzesznikowi. Nędzny ten zbrodniarz wycierpiał 12 lat więzienia, utracił żonę i cały dobytek, wyszedł na dziada, a przecież się nie upamiętał. Myślał on ciągle jakby się okrótnie pomścić na synu nieboszczyka starego Owcy. I oto posłuchajcie, co straszny ten zbrodniarz zrobił.

W chacie Stanisława odbywały się chrzciny, żona powiła mu czwartą dziecinę, sproszeni kumotrowie i sąsiedzi po dopełnieniu obrzędu chrztu świętego zabawiali się skromnie i uczciwie. Nie było tam hulanki, ani pijatyki, obrzydła gorzałka nie zarażała smrodem swoim izby. Na stole czystym obrusem okrytym, leżał chleb i ser. Stały misy z pieczoną kiełbasą i para gęsiami, a kilka gąsiorów piwa i jeden wina dopełniały chrzestnej uczty.

Za stołem między dwoma sędziwemi gospodarzami, siedział ksiądz dziekan, któremu wszyscy wielkie poszanowanie oddawali. Rozmowa toczyła się wesoło i przystojnie, a Stanisław chodził od jednego do drugiego pilnując aby nikomu niezbrakło jadła albo napitku. W drugiej izbie kumy, przyjaciółki i są-

siadki siedziały obok łóżka Stanisławowej bawiąc ją pogwarką, lubo prawdę mówiąc niekoniecznie było to dobrze, bo chora potrzebuje wywczasu, a silenie się na rozmowę wcale do zdrowia nie pomaga.

Tymczasem na ściennym zegarze uderzyła godzina dziesiąta. Usłyszawszy to ksiądz proboszcz zawołał:

— No bracia moi, komu w drogę to i czas; do dziesiątej zabawa godziwa, ale dłużej bałamucić się nie należy, tem więcej, że się zbiera na deszcz, lepiej więc do domu wrócić zawczasu. Bóg wam zapłać Stanisławie za dobre serce i uczciwą starodawną gościnność. Bywajcie zdrowi, a niech Pan Jezus was, całą rodzinę i domek błogosławi.

Na te słowa ruszyli się wszyscy, i pożegnawszy gospodarza, poszli każdy w swoją stronę.

Wnet i w chacie Stanisława posprzątano resztki jadła i napitku, gospodarz obszedł zabudowania, a po chwili wszyscy ułożyli się do spania i światła pogasły.

Noc zapadła ciemna i chmury coraz czarniejsze zaciągały niebo. Wiatr mocno podmuchiwał, a wszystko zapowiadało burzę, która lada chwila mogła wybuchnąć. Cicho w około, cała wieś się uspiła, tylko gdzieniegdzie psy poszczekują z przeciągłem wyciem.

Jeden przecież człowiek nie spi. Cicho jak lis do kurnika, skrada się ku domostwu Owcy, co chwila przystając i nadsłuchując, jak złodziej zabierający się do kradzieży; pod pachą trzyma kilka drągów uciętych świeżo w lesie, przez ramie wisi długi powróz, wlekący się za nim po ziemi. Nareszcie zbliżył się ku wrotom, wspiął się na nie i przybywszy ostrożnie stanął na podwórku domostwa.

Domostwo Stanisława zamożnego z dziada i pradziada było ogrodzone wysokim żywopłotem z wrotami z desek, niby jaki dworek albo zabudowanie folwarczne. Z trudnością więc wspinał się na wrota ów człowiek, zwłaszcza że mu pęk kołów przeszkadzał.

Byłto Fabijan przychodzący zemścić się na Stanisławie. Zbrodniarz ten wypatrzył sposobną chwilę do dokonania swoich niegodziwych zamiarów. Chrzciny u Stanisława były mu na

rękę, bo wiedział dobrze, że po zabawie wszyscy będą mocno spali i nikt mu nie przeszkodzi w spełnieniu zbrodni.

Szybko podbiegł pod okna słuchając czy spią w chacie, poczem przyniesionemi drągami podparł okiennice, powrozem zawiązał drzwi tak ażeby nikt nie mógł się wydostać z chałupy; nareszcie zapalił kilka siarniczek i rozniecíwszy ogień wetknął zarzewie pod strzechę chałupy i stodoły. Wnet buchnął płomień i objął wyschłą słomę obu budynków.

Fabijan spojrzał na swoje dzieło, a ujrzawszy że się podpalenie udało roześmiał się na całe gardło i zawołał:

— Upieczże się teraz mój Stasieczku z twojemi dzieciakami! Szkoda tylko, że za dwanaście lat mojego więzienia i ty dwanaście lat nie będziesz gorzał. To rzekłszy wdrapał się na wrota i przełożywszy nogę na drugą stronę już miał uciekać, kiedy nagle z obu stron wyskoczyły psy i na siedzącego na bramie poczęły strasznie ujadać. Fabijan zrazu chciał skoczyć, ale nie miał odwagi, bo były to psy dworskie, ogromne i okrutnie złe, a gdyby dopadły zbrodniarza pewnie by go rozszarpały na sztuki.

— Milionset tysięcy djabłów! — zawołał wściekły Fabijan, pocóżem sobie choć jednego kołka nie zostawił, ani sposobu zleźć, a tu lada chwila mogą ludzie nadlecieć!

Tymczasem pożar się zwiększał coraz bardziej, w kościele uderzono na gwałt, ludzie ze wszystkich stron biegli z osękami i wiadrami, a na samym przodzie Michał Grzybień.

— U Stanisława gore! U Stanisława pali się! — krzyczano ze wszystkich stron popychając się wzajemnie. Nareszcie Michał dopada wrót, aby je siekierą rozwalić, gdy w tem stanął nagle widząc dwa psy rozżarte i Fabijana siedzącego na wierzchu bramy z podkurczonemi nogami, ażeby go psy nie dostały.

— Co tu robisz — krzyknął Michał — ściągnijcie go, bo to jego sprawka ten ogień — a niebawiąc się dłużej, rozbił wrota siekierą i poskoczył najprzód ku domostwu.

— Patrzcie ludzie, okiennice podparte i drzwi zawiązane! podpalacz chciał wszystkich zgubić! dalej za mną, kto w Boga wierzy!

Nie było czasu bawić się nad rozwiązywaniem powrozu, rozrąbano go siekierą. Michał wpadł do izby, a zanim drudzy wynosząc żonę i dzieci Stanisława na pół omdlone ze strachu, i dymu; sam gospodarz leżał bez pamięci u spodu drabiny wiodącej na górę. Wyniesiono go na pole i zlano wodą, a skoro otworzył oczy, pierwsze słowa jego były: Mój syn! mój Franuś serdeczny!

Szczęściem na górze polepa była gruba, a ratunek nagły, więc się ogień nie dostał do izb, a tym sposobem wszyscy uszli śmierci. Najstarszy tylko syn Stanisława, Franuś, który zawsze sypiał w sianie na górze i parobek spiący w stodole! zginęli w płomieniach, bo im ratunku dać już nie było można

Pożar ugaszono prędko, bo wszyscy bronili z całej siły, a sikawka powiatowa dobrze kierowana nie mało przyczyniła się do przytłumienia ognia. Wynaleziono też ciała obu nieszczęśliwych ofiar zemsty Fabijana.

Skoro gromada z pierwszego przestrachu ochłonęła, wnet zabrano się do Plewy, pachołcy z powiatu zrewidowali go i znaleźli w kieszeni siarniczki i pęk kłaków. On się też bynajmniej nie zapierał, tylko przeklinał, że mu się nieudała zemsta.

W kilka dni potem odesłano go do Krakowa, a po dwóch miesiącach więzienia i indagacyi, sąd ogłosił wyrok, że Fabijan Plewa, zagrodnik z Liszek, poprzednio karany już za zbrodnię gwałtu i kradzieży dwunastoletniem więzieniem; teraz po udowodnieniu mu zbrodni podpalania, połączonej z morderstwem przez zamknięcie podpalonych ukarany zostanie śmiercią

Wyrok ten przyjął Fabijan obojętnie mówiąc: Tem lepiej, że mię powieszą, bo mi ciągle na oczach stoją popieczone trupy, niech się raz skończy.

Ale nie stało się zadosyć jego życzeniom, gdyż najwyższy sąd zmienił wyrok śmierci i skazał zbrodniarza do więzienia na całe życie, w odosobnionym lochu i przykuciem za nogę do muru.

Trudno opisać rozpacz Fabijana, gdy się o tem dowiedział, rzucił się do nóg sędziemu, który mu ten wyrok odczytał i dopraszał się, aby był ukarany śmiercią.

— Nie Fabijanie Plewo — odrzekł sędzia — długi twój

żywot w więzieniu i zgryzoty sumienia będą ci karą za twe zbrodnie.

Dziewiętnasty rok upływa od tego czasu, a Fabijan siedzi bez nadziei oglądania światła dręczony wyrzutami sumienia.

Tak Bóg Wszechmocny i sprawiedliwość ludzka ukarały niegodziwego podpalacza. Daj Boże, aby raz ta straszna zbrodnia między ludźmi ustała.

Wy zaś ludzie kochani bierzcie sobie naukę z tej smutnej historyi. Pamiętajcie, że zatwardziałość w zbrodni gubi duszę człowieka do reszty i w straszne nieszczęścia go wpycha. Gdyby się Fabijan był poprawił po pierwszej karze i nawrócił się znowu na dobrą drogę, byliby mu ludzie przebaczyli i Pan Bóg byłby mu przebaczył. Ale zawzięty ten zbrodniarz, zamiast żałować swego grzechu i przeprosić Boga za ciężką urazę a ludzi za krzywdę, myślał tylko jakby się pomścić na niewinnych ludziach! Ciężko też za to pokarano go na świecie, a Bóg jeszcze ciężej pokarze go po śmierci!...

## O kogucie, co był droższym niż krowa,

c z y l i:

### Jak była ukarana pani Przypeciowa.

Nieboszczyk mój dziad, Panie świeć nad jego duszą, byli sobie bardzo dobry i rozumny starowina, a bywało zawsze, kiedy zimowe wieczory nastały, opowiadali rozmaite piękne historje i przytrafunki.

Niejedno się już zapomniało co dziaduś opowiadali, ale zawsze gdybym chciał spisać i to, co się człeku zostało jeszcze w głowie, to nie starczyłoby na to i wołowej skóry. A zaś, aby sobie długo nie napominać, opowiem zaraz pierwszą lepszą historyjkę, co ją słyszałem od dziadka.

— Kiedym był jeszcze młodym parobczakiem — opowiadali mój dziadek — służyłem u starego Baltazara Przypecia, co miał chatę hen tam za dworskiemi łanami koło grobli. Baltazar Przypeć był sobie gospodarz nielada, miał roli jak dzie-

dzic, chudoby, aż pomieścić nie można, a w komorze kilka czapek srebrnego grosza.

Żona Baltazara, Katarzyna, była córką ekonoma, a choć za wieśniaka się wydała, zawsze okrutnie się pyszniła, gdyby jaka królowa, choć uczciwszy uszy brzydkie było babsko, aż oczy zamknąć! A niedobre do tego, a skąpe, że aż bez zgorszenia patrzeć się nie można było! Kazała się zwać zawsze panią Przypeciną, choć się za to srodze gniewał na nią nieboszczyk Baltazar, który prawdą a Bogiem był sobie człek niczego.

Żył sobie ten Baltazar Przypeć długo w dostatku, aż w końcu umrzeć mu przyszło. Niemiło było staremu żegnać się z światem, bo mu dobrze było na nim, ale cóż robić, śmierć na nic nie pyta i prawda to nad prawdami, co mówią ludzie:

Kręć się i wierć
A przyjdzie śmierć.

Otóż przyszła ona i do starego Baltazara. Było to właśnie wieczorem w lecie, powróciłem z pola z innymi parobkami, a tu mi mówią, że Baltazar już na skonaniu. Biegnę do izby — a Baltazar leży już w śmiertelnych potach. Kobiety Baltazarowej nie było doma, bo pojechała do miasta na targ, więc też jeno ksiądz proboszcz i my byli przy śmierci starego.

Kiedy już widział swój bliski koniec Baltazar, prosił aby zawołać wójta i zrobić testament. Przyszedł wójt i pisarz gromadzki także i poczęli pisać. Baltazar zapisał wszystko żonie, jeno jednej krowy nie, co była najpiękniejsza.

— Tę krowę — mówił Baltazar — niech żona sprzeda w mieście, a pieniądze niech rozda ubogim, aby się modlili za moją duszę.

Pisarz zapisał to razem do testamentu. Potem podpisał znakiem krzyża świętego Baltazar, a jako świadkowie ksiądz proboszcz i wójt. Rozrządziwszy tak swoim dobytkiem, niedługo już żył Baltazar. Nie minęło dwie godziny a skonał.

Gdy przyjechała żona z miasta, to nie bardzo płakała za mężem, jeno dopytywała się bardzo, co komu zapisał, bo była kobieta chciwa i niedobra. Kiedy się dowiedziała, że jedną najpiękniejszą krowę zapisał na ubogich, okrutnie była zła i markotna, i mówiła:

— No patrzajcie! Stary rozum stracił! Ja się tu koło gospodarstwa całe życie mozoliłam, a on najpiękniejszą chudobę zapisuje na ubogich! Ale ja już temu zaradzę.

I owo co zrobiła pani Przypeciowa? Zaraz po pogrzebie nieboszczyka wybrała się do miasta, aby tę krowę sprzedać i pieniądze ubogim rozdać. Ale jadąc do miasta, wzięła z sobą starego koguta, co się wałęsał po podwórzu. W mieście wyprowadziła krowę na targowisko, a koło krowy usiadła z kogutem.

Ludzi było na targu co maku. Do Baltazarowej przychodzili kupcy całą hurmą i pytali, co chce za krowę?

— Ja tę krowę tylko razem z tym kogutem sprzedaję! — mówi Baltazarowa.

— A to czemu? — pytają ludzie i śmieją się z takiej dziwnej sprzedaży.

— Już ja mam w tem mój rozum! — mówi Baltazarowa — kto chce kupić razem koguta z krową, to mu go sprzedam.

No i znalazł się jakiś kupiec i przystał na to.

— Moiściewy — mówi Baltazarowa — za koguta dacie mi trzydzieści reńskich, a za krowę pięć dudków.

— Czy oszalała kobieta, czy co? — mówi kupiec — toć zapewne pomyliliście się kobieto? Chcecie pewnie za krowę trzydzieści reńskich a za koguta pięć dudków.

— Już ja wiem co robię! — zawołała z gniewem Baltazarowa — za koguta trzydzieści reńskich, za krowę tylko pięć dudków!

Kupiec myśli sobie:

— Tać mi to wszystko jedno, czy tak czy tak, a kiedy taka szalona, to niech będzie!

I mówi do Baltazarowej:

— No to kończmy handel! Ja już przystaję.

— Dobrze — mówi Baltazarowa — ale ja chcę przy świadkach.

Pewnikiem już domyśliliście się, czemu tak robiła Baltazarowa i czemu chciała świadków. Mąż nakazał przed śmiercią, aby tem, co dostanie za krowę, obdzieliła ubogich. Otóż skąpej babie żal było dać te pieniądze, więc się wzięła na taki cygański sposób, myśląc sobie:

— Przedam krowę razem z kogutem. Za krowę wezmę pięć dudków, a za koguta trzydzieści reńskich. Wtedy dam dla ubogich to co wzięłam za krowę, to jest pięć dudków, a trzydzieści reńskich zostaną w kieszeni, bo świadkowie zaświadczą, że to za koguta.

Kupiec przyprowadził świadków i przy nich dobił targu, dając za koguta 30 reńskich a za krowę 5 dudków.

— Chodźcież do chaty — mówi do Baltazarowej Przypeciowej — to wam zapłacę.

Popędzili więc ludzie krowę a Baltazarowa poniosła koguta w kobiałce. Gdy przyszli do chaty, wypłacił kupiec pieniądze i kazał krowę zapędzić do stajni, a koguta wyciągnąć z kobiałki.

Ale oto patrzcie co się stało! Kogut co był stary i chudy jak trzaska i już mu nie wiele do śmierci brakowało, udusił się w kobiałce, bo go Grzegorzowa związała i zapokowała między inne rzeczy.

Kiedy Baltazarowa wyciągnęła koguta, patrzą — a tu kogut zdechł. Jak to zobaczył kupiec, zawołał:

— Kiedy kogut zdechł, to ja już go nie mogę kupić. Oddajcie mi więc 30 reńskich za koguta a pięć dudków za krowę weźcie sobie.

— Co!... Jak!... — zawołała Baltazarowa i aż jej w oczach pociemniało a twarz jej pobladła jak chusta.

— A nie inaczej! — mówi na to kupiec — ja mam na to świadków, coście ich sobie sami obrali. Za koguta wypłaciłem wam 30 reńskich, a że kogut zdechły, więc oddajcie mi te pieniądze. Krowa zdrowa, no to za nią macie 5 dudków, jakeście chcieli!

— A na miłosierdzie Boże! — zawołała z płaczem Baltazarowa — to wy chcecie krzywdy biednej wdowy! Kogut zdechł, no to prawda, ale zmiłujcie się przecie, to jakże krowę przedać za 5 dudków?...

— A dyć mnie ją tak przedaliście — mówi kupiec — a od czego świadkowie!

Poczęła się kłótnia, Baltazarowa zawodziła i ręce łamała i od siebie z gniewu odchodziła. W końcu poszli do sądu —

ale i to nic nie pomogło, bo handel był już skończony, a świadkowie zeznali, że Baltazarowa sprzedała krowę z 5 dudków, a koguta za 30 reńskich. Powiedzieli Baltazarowej w sądzie, że się może precesować o to, ale jak na teraz to musi oddać 30 reńskich za koguta.

Baltazarowa wróciła do domu ledwo żywa, klęła na czem świat stoi i aż się rozniemogła ze zgryzoty. Ale nie na tem się skończyło. Jak urząd odczytał testament Baltazara, to kazał Baltazarowej oddać pieniądze za krowę na ubogich. Baltazarowa mówiła i klęła się, że wzięła za nią tylko 5 dudków, ale nie znalazła oczywiście wiary, jeno ją jeszcze nałajali i zagrozili, że jak nie zapłaci tyle co krowa była warta, to za oszukaństwo jeszcze do aresztu pójdzie.

I Baltazarowa nietylko że krowę marnie straciła — ale jeszcze drugich 30 reńskich musiała dać na ubogich, bo ta krowa, co ją nieboszczyk ubogim zapisał, tyle akuratnie była warta. Tak ukaraną została pani Przypeciowa, za to że chytrością chciała ocyganić i oszukać ostatnią wolę swego nieboszczyka męża.

Zaś ów kupiec, co kupił krowę, jak się dowiedział o całej sprawie, jak to było, zaraz dał te 30 reńskich, co była warta krowa, na ubogich, bo był to człowiek zacny i uczciwy. Otóż patrzajcie, Baltazarowa chciała oszukać swego nieboszczyka męża i ubogich, a oszukała tylko siebie — bo wola zmarłego się wypełniła, a ubodzy zamiast 30 reńskich dostali aż sześćdziesiąt!

— Tak to się dzieje na świecie — kończyli mój nieboszczyk dziadek tę historję — każdy *zdradliwy człowiek wpada sam w własną łapkę*, *oszust sam się w końcu oszuka*, *a skąpy dwa razy traci!* Wypadek ten zdarzył się dawno już bardzo, kiedy ja jeszcze młodym parobczakiem byłem, ale nauka zawsze jest ta sama!

Takie to historje opowiadali mój nieboszczyk dziadek. Opowiedziałem wam tu jedną na naukę, a kiedy będzie czas po temu to opowiem i drugą.

*Wojtek ze Smolnicy.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.